Bezpłatny dodatek do Nr. 95 „Głosu Narodu“.

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr. 1. Kraków, niedziela dnia 5-go kwietnia 1936 r.

DR. ANDRZEJ NIESIOŁOWSKI.

Dwaj koronowani szwagrowie.

Jak to niegdyś z rozjemstwem bywało.

Życie nie wraca do tego, co było już raz; historja jest szeregiem wydarzeń jednorazowych. A jednak ma i historja swoje t e m a t y, do których z uporem wciąż powraca. Należy do nich i sprawa rozjemstwa międzynarodowego.

Czytając sprawozdania prasowe z naszej Ligi Narodów, ulegamy może nieraz sugestji, że wykuwa się tu coś nowego, że posuwamy się po drodze historji ku wyższym formom współżycia narodów. A jednak są to poczynania, w których 500 lat temu byliśmy może już dalej, niż dziś.

Nie będziemy tu pisać dziejów rozjemstwa w średniowieczu. Chodzi nam tylko o kilka jaskrawych epizodów z naszej historji, które istotę rzeczy lepiej może oświetlą, niż długie rozważania teoretyczne.

ZYGMUNT LUKSEMBURCZYK I JAGIEŁŁO.

Nieodzowną będzie tu krótka charakterystyka głównych osób. „Dramatis personae“: Zygmunt Luksemburczyk i Władysław Jagiełło.

Ci dwaj mężowie córek Ludwika Węgierskiego, którzy w swych rękach dzierżyli losy Europy, stanowili kontrast zgoła przedziwny. Zygmunt, wychowany na najświetniejszym i najbardziej katolickim dworze Europy, jako dziecko już przez ojca, cesarza Karola, w sprawy państwowe wtajemniczany, zdolny, niezwykle wykształcony, dyplomata z urodzenia, pełen „światoburczych“ planów, zdawał się, przy swej olbrzymiej potędze domowej, być tym, któremu powieść się może przywrócenie blasków cesarstwa. Jakże niknąć musiał w zestawieniu ze swym potężnym szwagrem ten półdziki Litwin, analfabeta, z natury gnuśny i łatwowierny, ciężkiego dowcipu, powoli się orjentujący, a przytem impulsywny. Wyrazem zewnętrznym tego kontrastu była skromność, a nawet prymitywność stroju, którą Jagiełło odbijał od wytwornego i żądnego blichtru Zygmunta. A jednak jakiż niespodziewany bilans życia tych dwóch monarchów!...

Pomijając dzieło likwidacji schizmy kościelnej, przy którem Zygmunt odegrał niewątpliwie rolę ważną a nawet decydującą, łączą się z jego imieniem same i to najhaniebniejsze klęski (Nicopolis, wojny husyckie, wywołane przez wiarołomstwo Zygmunta wobec Husa). Blaski korony cesarskie pod koniec jego panowania rzucały już tylko karykaturalne cienie.

Jagiełło przeszedł do historji jako zwycięzca jednej z tych bitew, które zadecydowały o losach świata. Postać jego uwieczniona w spiżu pomnika grunwaldzkiego, stała się symbolem największej chwały i potęgi Narodu. Imię tego analfabety nosi ufundowany, nie bez jego woli, przez nieśmiertelną Jadwigę pierwszy we wschodniej Europie uniwersytet. W stosunku do chrześcijaństwa powiedziano współcześnie, że ten neofita tyle właśnie wierze św. przysporzył nabytków, ile Zygmunt utracił. I wyciągano z tego wnioski takie — nietylko w Rzymie, ale i w Niemczech, że korona cesarska teraz przejdzie na Polskę. Wiadomą jest rzeczą, że Czesi aż czterokrotnie ofiarowywali Jagielle swą koronę, a Wenecja proponowała mu cesarstwo. Mniej jest znany epizod, charakteryzujący popularność obu monarchów. Gdy w czasie polowania na Węgrzech Zygmunt spadł z konia i popadł w letarg, magnaci węgierscy, nie ukrywając radości spowodu jego zgonu, niezwłocznie, nie czekając aż trup ostygnie, ofiarowali swą koronę Jagielle. Można sobie wyobrazić ich przerażenie, gdy Zygmunt ożył.

Jakież mogą być przyczyny takiego wyniku rządów tych dwóch, tak nierównie uposażonych monarchów?

Nie częste są tak jaskrawe ilustracje zależności losów od wartości moralnej kierowniczych jednostek. Gorliwy, może czasem aż bojaźliwie o losy swej duszy zatroskany neofita Jagiełło, wierzył przedewszystkiem w siły nadprzyrodzone. Przed bitwą grunwaldzką uważał wysłuchanie Mszy za ważniejsze, niż sprawienie szyków. Co do niego należało, wypełniał jednak skrupulatnie i nigdy nie grzeszył brakiem przezorności (chyba, gdy chodziło o zaufanie do Witołda czy Zygmunta). Przed wyprawą grunwaldzką Jagiełło nie tylko, że przygotował wielkie zapasy i tak niezwykłe, jak na owe czasy urządzenia, jak most pontonowy, ale przeprowadził też świetny wywiad, czego zupełnie zaniedbał dufny w swe siły w. mistrz Ulryk v. Jungingen. Pokój kochał bardziej, niż to było dopuszczalne ze stanowiska interesów Polski, dla której odzyskanie Pomorza było tylko kwestją bytu jako mocarstwa, a niemniej i sprawą obowiązku wobec jęczących w niewoli krzyżackiej rodaków. Dla tej miłości pokoju każdej chwili gotów był schować do pochwy wyciągnięty już miecz. Potrafił on nawet przebaczyć zamordowanie i znieważenie zwłok własnego brata przez Krzyżaków. Wiele było trzeba, by rozbudzić istniejącą jeszcze w głębi jego duszy zapalczywość.

Wychowany na arcychrześcijańskim dworze Karola IV, Zygmunt był, mimo niewątpliwego przywiązania do Kościoła, człowiekiem nietylko zupełnie amoralnym i wierzącym jedynie w pieniądz, oręż i — intrygę, — ale nawet pozbawionym elementarnego poczucia przyzwoitości i honoru. Pracując niby dla Kościoła, szukał w rzeczywistości tylko własnej chwały. Jego romantyczne marzenia o wskrzeszeniu blasków cesarstwa znalazły swój wyraz w blichtrze reprezentacyjnym, który rujnował jego skarb. W rezultacie mimo całej potęgi domowej i mimo bogatych kopalń złota na Węgrzech, Zygmunt nie tylko musiał zastawiać, co tylko było do zastawienia [1]) — nie wyłączając ziem swego królestwa, jak Nowa Marchja i Zamki Spiskie, które pozostać miały przy Polsce aż do r. 1770, lecz miał on się posunąć aż do sprzedawania swych wyroków rozjemczych najwięcej dającemu. Nigdy nie dotrzymywał nikomu wiary, nawet mimo uroczystych przysiąg, które zresztą nieraz dawał równocześnie obu stronom. To też powiedziano o nim, że, nad kimkolwiek roztoczyć chciał opiekuńcze skrzydła, ten zginął z pewnością. Groźny był on nie jako wróg, lecz jako przyjaciel, zawsze obłudny, zwłaszcza, gdy chodziło o Polskę. Trzeba zresztą przyznać, że jego wspomnienia polskie nie były zbyt miłe. Przeznaczony pierwotnie przez Ludwika na dziedzica korony polskiej, przeżyć musiał dwukrotnie zamykanie się przed nim bram tego królestwa.

[1]) Z Konstancji nie mógł on nawet wyjechać z powodu długów, a wszystkie otrzymane dary wędrowały do lombardu.

ZYGMUNT JAKO ROZJEMCA.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej przy charakterystyce obu monarchów, gdyż tłumaczy ona wszystko dalsze.

Rozjemstwo w średniowieczu miało do wyboru dwie konkurujące stale ze sobą władze uniwersalne: świecką i duchowną. W okresie schizmy „król rzymski“ (Zygmunt nie miał jeszcze korony cesarskiej, którą dopiero pod koniec życia uzyskał) miał szanse lepsze, zwłaszcza, że umiał zawsze swoje usługi narzucić. Funkcja rozjemcy nietylko, że schlebiała próżności Zygmunta, lecz było to walne narzędzie dla przywrócenia roli politycznej cesarstwa. Przedewszystkiem było to jednak wyśmienite źródło dochodu. Nie zadawalając się tem, co obie strony mniej lub więcej dyskretnie „sędziemu narodów“ do kieszeni wsuwały jako „dary honorowe“ (Ehrungen), wymyślił Zygmunt jawny zupełnie, system wyciskania pieniędzy. Polegał on na tem, że za niedotrzymywanie zobowiązań, nałożonych przez wyrok, strona winna, miała zapłacić wysoką karę konwencjonalną, z której trzecia część przypadała rozjemcy. Przy takiej konstrukcji sądownictwa międzynarodowego wytworzył się taki stan rzeczy, że rozjemcy chodziło przedewszystkiem o to, by mieć sposobność do ściągania kar konwencjonalnych. Na szczęście dla Polski trafiło to ostrzem przedewszystkiem w Zakon, który zresztą po Grunwaldzie był bankrutem.

Zygmunt, który jeszcze w czasie oblężenia Malborga próbował dywersji na rzecz Zakonu, co się skończyło rozbiciem jego wojska przez lokalne siły polskie pod Bardyowem, przeszedł wkrótce na stronę zwycięzców, co mu zresztą nie przeszkadzało pracować z całym wysiłkiem nad rozbiciem Unji i knuć fantastyczne pomysły podziału Polski.

Odtąd zaczęła się ta przedziwna gra między tymi dwoma królewskiemi szwagrami. Jagiełło był tu zawsze tym, który w grze dyplomatycznej padał ofiarą swej niepoprawnej łatwowierności, z której go nawet najfatalniejsze doświadczenia nie wyleczyły. Panowie polscy, kierujący polityką, mieli nielada kłopot z wyciąganiem ciężkiego Litwina z misternych sieci Luksemburczyka[2]).

Pierwszy sąd rozjemczy w Budzie, poprzedzony długiemi rokowaniami i uroczystościami, wypadł jeszcze najpoważniej. Zygmunt przynajmniej zaaranżował badania i rozprawy, które trwały przez cały kwartał. Ostatecznie jednak wyrok, mimo różnych drugorzędnych ustępstw dla Polski, potwierdził fatalny pokój toruński. W dwa lata później, już po Unji horodelskiej i obaleniu Plauena, dał się Jagiełło namówić na nowe rozjemstwo Zygmunta, łudząc się, że

[2]) Na zjeździe w Kieszmarku (1410) próbował Zygmunt oderwać Witołda od Jagiełły, gdy jednak ten, nie reagował i bez pożegnania opuścił miasto, Zygmunt, niepomny swej godności, gonił za Witołdem, obawiając się, zresztą słusznie, że ten zdradzi jego knowania Jagielle. On też poradził później, by szlachtę litewską przyjąć do herbów polskich, licząc, że przez przeniesienie ustroju feudalnego na Litwę, uczyni z niej samodzielną, skłonną do oderwania się od Polski potęgę. Lecz Zygmunt przechytrzył i mimowoli przyczynił się do powiązania obu narodów nierozerwalnemi więzami, gdyż szlachta litewska mogła tylko w oparciu o Polskę utrzymać swe przywileje.

AUGUSTYN SUSKI.

HOLNY WIATER.

W literackich kołach Krakowa zwrócił ostatnio na siebie uwagę młody talent poetycki, Augustyn Suski. Kilka jego utworów, które recytowano na niedawno odbytym wieczorze poezji na Uniw. Jagiellońskim w Krakowie, wywołało duże wrażenie, zarówno przez swą formę, jak i motywy tworzywa. Autor posługuje się gwarą podhalańską w swych utworach. Nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni, choć nie zaszkodzi przypomnieć, że Witkiewicz w tej gwarze tłomaczył śliczne „Fioretti“ św. Franciszka. Dla wielu jest jednak coś egzotycznego w takiej poezji. Ale język nie odgrywa tu roli decydującej. Odgrywa ją treść. A ta w zamieszczonym niżej wierszu daje wspaniały obraz poetycki. — Uw. Red. „Gł. N.“.

Hej... hej! Kurniawa. — Holny wiater leci
hań ode Tater. Na skrzydlicak hmury
wlece sie hyrny iglicami smrecyn.

Wywlók sie, gwizdnon i prasnon sie w gore,
jaz zagielcało po Cerwonyk Wierhak.

— Posel w doliny, mocarny jak Tatry.

Hej, hale idzie! Wis! hań trzasła wierba
hań bukowina osuła sie w watry.
Hej, telo buków! Bedom drugie Tatry
z bukowych pnioków — nie... On sie odrucieł,
wzdon se horągwie z drzew i cyrniaw dymu
leci na Lahy, stłamsi ziemie, zdusi,
ozerwie hole. Wis! juz sie odwinon —
skrzydlice scerzy ku Tatrom. — He... stanon —
kerpcami wydar w Dunajcu siklawe
i zawył w regle, hlusnon w niebo pianom
i mglicom wody osédzieł se hlawe.

Na holak sie łysło: Bóg skrzesoł ciupagom
pieron na graniak i cisnon w przepaście
złomany łańcuk... Hej!! Krzywoń sie nagion —
Hań, kany holny z podrypsonyk hraści
hmure wyrzezoł i seł za niom jurny,
łunon skolami, jaz sie ziem zatrzęsła,
i pierś ozdarła... hej lo sytkik turni,
słozyła watry na zelaznyk sprzęsłak.

Kiz to? Cy smreki zbójnickiego nucom?
Słonko im przędzie do gęślików struny,
a wody hucom —
gro cały las...
Hań dudni bas.
jakby nad lasem gwarzyły pierony.
— Hań wiater tońcy krzesanego.

tym razem przyzna on Polsce Pomorze, które mu już pod murami Malborga sam Plauen ofiarowywał. Zawód miał być tem większy, im większe były nadzieje. Zygmunt tym razem przysłał gotowy już wyrok, który był jedynie potwierdzenie poprzedniego. Oburzony Jagiełło dał się teraz przekonać, że są jednak konflikty, które jedynie oręż rozstrzygnąć może. Gdy jednak szczęście wojenne — tym razem — zawiodło i „wojna głodowa“ skończyła się obopólnem wyczerpaniem, trzeba było znowu wrócić do rozjemstwa. Teraz jednak nasunęła się możność wyboru: spór miał rozstrzygnąć zbierający się właśnie w Konstancji Sobór, nie wykluczono jednak ani cesarza ani papieża. Oczywiście Sobór sprawy nie rozstrzygnął i na tem właśnie polegał sukces dyplomatyczny delegacji, że nie dopuszczono do nowego wyroku, który byłby niewątpliwie nowem zatwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy. Po rozwiązaniu Soboru udało się jednak Zygmuntowi powrócić do swej roli i uzyskać pełnomocnictwa do rozstrzygnięcia ostatecznego sporów polsko-krzyżackich. Wyrok wrocławski został wydany bez wysłuchania stron. W wyroku tym Zygmunt nietylko że nie przyznał Polsce Pomorza, lecz nakazał oddać Zakonowi Żmudź, i to w części niezwłocznie. Sam zato ustanowił siebie stałym rozjemcą polsko-krzyżackim. Wyrok, który osobny posłaniec w siedmiu dniach zawiózł na Litwę (przebył on w tym czasie 1400 km, co było wyczynem wówczas niezwykłym), wywołał niesłychane wzburzenie. Król wysłał Oleśnickiego, któy wraz z posłem Witolda, Cybulką, Zygmuntowi publicznie zarzucił przekupstwo i zdemaskował jego podwójną grę. Zygmunt próbował winę zrzucić na doradców, a potem chciał podobno zuchwałych posłów w Odrze utopić, od tego jednak — choć z trudem — go odwiedziono.

Tak zakończyło się rozjemstwo świeckiej władzy uniwersalnej.

PRZED SĄDEM PAPIESKIM.

Zawiedziona na rozjemstwie świeckiem, zwróciła teraz Polska — nie poraz pierwszy — swe nadzieje do Rzymu. Odkąd znowu przywróconą była jedność chrześcijaństwa, wzrósł na nowo autorytet Stolicy Piotrowej. Rozjemstwo Kurji, choć i ono liczyło się z konjunkturami, było bez porównania bardziej objektywne. Sprawę wziął teraz w swoje ręce polityk o genjalnym umyśle i światowej sławy kanonista, Paweł Włodkowic, który już w Konstancji podważył fundamenty ideologiczne, na których oparty był Zakon, a zarazem i uniwersalizm cesarstwa. Olbrzymi autorytet i wpływ Włodkowica, którego nie bez powodu współczesny mu dziekan krakowski, Lasocki, nazwał „sidus praeclarum et honor patriae nostrae in terra externa“ (gwiazda najjaśniejsza i honor ojczyzny naszej w ziemiach obcych), zrobił swoje. Włodkowic uzyskał orzeczenie kolegjum prawniczego uniwersytetu padewskiego za uchyleniem wyroku wrocławskiego. Sprawa była niełatwa, gdyż Polska zobowiązała się wyrok przyjąć, jakkolwiek wypadnie. Papież, który teraz sprzyjał Polsce, musiał się jednak cofnąć pod naciskiem strony przeciwnej. Marcin V. szukał wyjścia z trudnej sytuacji — nie, jak Zygmunt, przez zwodzenie i wygrywanie obu stron przeciwko sobie — lecz przez próbę uzgodnienia sprzecznych interesów. Próba ta wprawdzie ze względu na zbyt wielkie napięcie przeciwieństw, nie mogła wydać wyniku, i walka musiała się znowu przenieść na płaszczyznę rozstrzygnięć orężnych, lecz w każdym razie wykazała ona większy bez porównania objektywizm duchownej władzy uniwersalnej.

ROZJEMSTWO W IDEOLOGJI PAWŁA WŁODKOWICA.

W wyniku tych doświadczeń zrodziły się w umyśle pierwszego ideologa polskiego pewne niezmiernie doniosłe i dziś jeszcze pełne aktualnych myśli koncepcje, dotyczące rozjemstwa międzynarodowego. Ich założenia są już zawarte w doktrynach, ogłoszonych na soborze konstancjeńskim, lecz ostateczne ich wykończenie daje dopiero list do Oleśnickiego, napisany pod wrażeniem strasziwego najazdu odwetowego Krzyżaków z 1431 r. List ten, jeden z najwspanialszych, dotąd jeszcze niedocenionych dokumentów naszej literatury średniowiecznej, daje nam koncepcje, które można uznać za najdojrzalszy owoc refleksji teoretycznej i praktycznych doświadczeń.

Włodkowic odrzuca uniwersalizm świecki i świeckie rozjemstwo nie zasadniczo, lecz „spowodu grzechów naszych“. Innemi słowy chodzi tu o niezdolność do objektywnych orzeczeń ze strony świeckiej władzy uniwersalnej, która stała się narzędziem imperjalizmu niemieckiego i dla tego nigdy uznaną nie została przez polską rację stanu. Rozjemstwo stało się dla niej nie powołaniem i służbą na rzecz ideału sprawiedliwości i pokoju powszechnego, lecz narzędziem własnych, samolubnych i krótkodystansowych interesów. Ten jest właśnie „grzech“, uniemożliwiający realizację ideału jedności politycznej świata. O wiele większe gwarancje bezstronności daje władza duchowna. Nie jest ona ani w części tak związana interesami doczesnemi. Namiestnik Boży ma z urzędu łaskę Bożą zapewnioną. Polska już zdołała się przekonać, że mimo intryg wroga możną w Kurji uzyskać sprawiedliwy wyrok. Największą trudnością jest jednak jego wykonanie. Toć nie ludził się Włodkowic, że Zakon ulęknie się klątwy papieskiej. I tu występuje dopiero cały jego realizm polityczny. Wykonanie wyroku należy powierzyć zainteresowanym. Narazie niema jeszcze innej możliwości. Nie jest to więc jeszcze likwidacja wojen i daleko stąd do jakiegoś miękkiego pacyfizmu. Chodzi tu o zastąpienie samosądu przez poddanie się orzeczeniom najwyższego autorytetu moralnego świata. Chodzi o wyeliminowanie odwetu i zastąpienie go przez wymiar sprawiedliwości. Włodkowic sam wznosi się ponadto na wyżyny moralne miłości nieprzyjaciół, którą dobrze z nienawiścią do samego zła pogodzić można. Nie jest to droga słabości i ustępliwości, niedopuszczalnej, gdy chodzi o wartości najwyższe, lecz droga samoopanowania i długodystansowości. Czyż i dziś nie jest to jedyna droga wiodąca do rzeczywistego przezwyciężenia zasady: naród narodowi wilkiem?

Zwyczaje wielkanocne.

W POLSCE.

Wielkanoc, która po siedmiu długich zimowych tygodniach postu wypada najczęściej w okresie cieplejszych i pogodniejszych dni — od wieków była Świętem Radości. Cieszyły się dusze nadejściem dnia Zmartwychwstania Pańskiego, a oczy — nadejściem odmładzającej naturę wiosny. Smutek wiosny kończył się równocześnie z okresem wielkopostnych nabożnych rozpamiętywań. Nic więc dziwnego, że z tak uroczystem i radosnem świętem związało się wiele zwyczajów i obyczajów u ludu polskiego, który, jak żaden inny, pełnem sercem i weselem, obchodził Wielkanoc.

Wstępem do Wielkanocnych świąt była Niedziela Palmowa. Tłumnie śpieszono do kościoła z palmami w ręku, a gdy z poświęconemi wracano do domu, to jakby uświęcony gość w progi wstępował. Wierzono, że połknięcie pączka z wierzby poświęconej przynosi zdrowie. Wszak już Imć Mikołaj z Nagłowic w swej „Postylli“ żartobliwie pisze: „Kwietną Niedzielę kto „bagniątka“ czyli kotki, czyli pączki z palmy wielkanocnej nie połknął, ten już zbawienia nie otrzymał“.

W niektórych okolicach istniał, a i dziś gdzieindziej istnieje zwyczaj chodzenia w Wielki Czwartek z „Judaszem“, maszkarą wypchaną słomą. Zaraz po „ciemnej jutrzni“ na dziedzińcu kościelnym chłostano „Judasza“, że Jezusa zdradził, i bito go kijami, potem na taczce obwożono z pośmiewiskiem i urąganiem, aż wreszcie topiono.

Ostatnie dnie Wielkiego Tygodnia gospodynie coniemiara miały trudu i subjekcji wszelakiej, wszakże zastawa wielkanocnego stołu tradycyjnie musiała być suta, bo po długim, przestrzeganym poście, trzeba siebie a i gości uraczyć. Pieczono więc ciasta i mięsiwa. Dużą rolę odgrywały też jaja wielkanocne, pisankami zwane.

W pewnych okolicach podanie głosi, że święta Magdalena, gdy radosną wieść o Zmartwychwstaniu dostawszy — do domu wróciła, ujrzała w misie na oknie jaja w czerwonych skorupach. Gdy wyszła z niemi przed dom i rozdała je spotkanym apostołom, jajka w ptaki się zamieniły, jako, że „ze śmierci Jezusa powstał żywot wieczny dla ludzi“. Inna znów tradycja głosi, że to kamienie, któremi rzucano w świętego Szczepana, zamieniły się w pisanki.

U LUDÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

Pascha, czyli święta Wielkanocne należały do najstarszych i najważniejszych świąt żydowskich; obchodzono je bowiem na pamiątkę wybawienia żydów z niewoli egipskiej. Znano je także już na długo przed wyjściem żydów z Egiptu. W szczególności obchodzili je Egipcjanie i Babilończycy ku czci „święta wiosny“. Modły, zwracane wówczas do bóstw przyrody, miały na celu uproszczenie płodności dla roślin i zwierząt.

Święta te nazwały narody pochodzenia germańskiego i anglosaskiego mianem „Ostern“ lub „Easter“.

Dlaczego?

Dawni Germanie znali święto „Wiosny“, które obchodzili uroczyście ku czci bożka „Thora“ i jego siostry „Ostary“. Według historyka Eginharta, już Karol Wielki miał nazwać miesiąc kwiecień „Ostarmanoth“, a anglosaski pisarz św. Beda Venerabilis wspomina, że nazwę tę odnieść należy do anglosaskiej bogini „Eastry“ lub „Ostary“. W miejsce tych pogańskich uroczystości Kościół wprowadził święto Zmartwychwstania Pańskiego.

Poświęconem pogańskiej „Ostarze“ zwierzęciem miał być zając, a ulubioną ofiarą jaja, jedno i drugie jako symbole budzącej się natury i płodności tych cennych darów wiosny. Stąd to te pojęcia miały zawsze ścisły związek z obchodem świąt Wielkanocnych ludów germańskich i od nich dopiero przeszły do świątecznych zwyczajów innych narodowości. — W Niemczech, Austrji i Szwajcarji dostarczają też jaja wielkanocne mnóstwo sposobności do całego szeregu ludowych zwyczajów i zabaw. Obchodzone jest tam także uroczyście święcenie w tym czasie.

W Anglji, zwłaszcza po miastach, nie obchodzi się Święt Wielkanocnych zbyt uroczyście. Z dawnych zwyczajów ludowych związanych z tym okresem czasu spotkać można tylko na dalszej prowincji nieliczne jeszcze pozostałości. Tradycyjne „jajka“ występują tylko w formie czekoladowych wyrobów — jak drewnianych, ozdobnych pudełeczek, które podobnie, jak u nas, zapełnione słodyczami, otrzymują jedynie dzieci. Pod tym względem podobnie jest i we Francji. Anglicy lubią zresztą świąteczny czas spędzać na świeżem powietrzu i w Wielkanoc opuszczają chętnie miasta, udając się na wieś, lub nad morze. — Rozpowszechniony na austrjackich i niemieckich katolickich dworach książęcych zwyczaj umywania w Wielki Czwartek nóg ubogim starcom przez panujących, nieznany jest w protestanckiej Anglji. Zamiast tego rodzaju obrzędów rozdziela się w dniu tym na angielskim królewskim dworze obfite jadło w specjalnych koszyczkach, pomiędzy tylu ubogich, ile lat liczy każdorazowo łącznie panująca para królewska; podobny zwyczaj ugaszczania ubogich jest znany i w Antwerpji (Holandja).

W krajach zamorskich, zamieszkiwanych dziś przez potomków dawnych hiszpańskich zdobywców, obchodzi się święta Wielkiejnocy z niemniejszą okazałością. Dotyczy to szczególnie Meksyku; ludność tubylcza, choć z małą przymieszką krwi hiszpańskiej, starannie kultywuje religijne tradycje swych dawnych ciemiężców.

Grecy obchodzą święta Wielkiejnocy podobnie, jak dawniej Rosjanie. — W pierwsze święto na przystrojonych ulicach panuje wesoły nastrój świąteczny, wypowiadający się w ludowych zabawach i ulubionych narodowych tańcach. Po wsiach zabijają jagnięta, a krwią ich znaczą odrzwia na domostwach.

W Rumunji młodzież wiejska spędza świąteczny czas na obszernych łąkach; wśród tańca i wesołego nastroju zabawia się rzucaniem do siebie malowanych kraszanek.



KOLOMAN MIKSZATH.

Dług Anny Bede.

(Bede Anna tartozása).

Z języka węgierskiego przełożyła Zofja Nowogrodzka.

Jeden obok drugiego, wszyscy, siedzieli sędziowie. A tam na polu mgła coraz bardziej parła na bezkształtny budynek; zdawała się cisnąć na jego ściany; zawisła na oknie, zamroczyła kwiaty mrozu. Lecz skąd tu — kwiaty? W sali powietrze było ciężkie i duszne, pełne woni kożuchów i wódki, a tylko w najwyższej szybie powoli i opieszale obracał się wentylator. Zmęczeni sędziowie oparli się o swe krzesła; jeden nawet zamknął oczy i opuściwszy bezsilnie ręce słuchał chrobotu pióra pisarza, drugi ziewnąwszy, bębnił ołówkiem w zielony stół, podczas gdy przewodniczący, zsunąwszy okulary na koniec nosa, ocierał chustką spocone czoło. Szare, zimne jego oczy, utkwiły badawczo w drzwiach, przez które teraz na dwór wychodzą zainteresowani w przeprowadzonej świeżo sprawie karnej: świadkowie i oskarżeni.

— Czy jest tam jeszcze ktoś na polu? — pyta przewodniczący woźnego przewlekłym zimnym głosem.

— Jakaś dziewczyna — odpowiada sługa.

— Niechże wejdzie ta dziewczyna.

Drzwi się otworzyły i dziewczę weszło na salę. Razem z nią wślizgnął się świeży prąd powietrza, który łagodnie pogłaskał twarze i musnął rzęsy, a przez grubą mgłę jakby wkradł się także jeden promień słoneczny do okna i tam tańczył wśród kwiatów lodowych, zwielokrotniwszy się na ścianach i sprzętach sądowej sali.

Takie sobie urodziwe stworzenie. Strzelista, proporcjonalna postać, którą zgrabnie otulał mały, kwiecisty, kożuszek, — czarne oczy skromnie zmrużone, wysokie, wypukłe czoło zachmurzone, w sposobie zachowania się wdzięk i powab w ruchach.

— Co tu robisz dziecko? — Pyta obojętnie przewodniczący. (Taki sztywny i surowy urzędnik na nic nie ma względu).

Dziewczyna poprawiła czarną chustkę na głowie i z głębokiem westchnieniem odpowiada:

— Wielka jest ta moja bieda, bardzo wielka.

Miękki i smutny jej głos wdziera się do serc, jak muzyka, która nawet wtedy, gdy już zamiera, wciąż jeszcze zdaje się brzmieć w powietrzu. Twarze sędziów nie są już tak bezwzględne, a portret króla i trochę dalej Najwyższego Sędziego, zdają się dobrotliwie z niemej ściany zachęcać dziewczynę, aby opowiedziała o tej swojej biedzie.

Ma pismo, niech ono przemówi; tylko, że trzeba go najpierw poszukać na piersi, trzeba rozpiąć górną spinkę kożucha i sięgnąć po nie rękoma. O, brzydki guzik! Oto odpadł... spadł. Schyla się po niego zaambarasowana, a pismo tymczasem spada z piersi. Okrutna, szpakowata głowa prezesa odwraca się; duża tłusta ręka wyciąga się ku pismu.

— Jakiś wyrok — mruczy przebiegając oczyma papier... Wzywa się Annę Bede, aby dzisiejszego dnia zaczęła półroczne więzienie.

Dziewczę smutnie przytakuje głową i gdy ją głęboko pochyla, na plecy zsuwa się żałobna chustka i czarny włos z grubego rozplecionego warkocza spływa na twarz: lepiej, gdyby ją zakrył zupełnie, gdyż, jeśli przedtem biała była jak lilja, teraz ze wstydu podobna się stała purpurze.

— Dziś tydzień, jak otrzymałyśmy to pismo — mówi drżącym, łamiącym się głosem. — Sam Pan Wójt przyniósł je i wytłumaczył, mateczka zaś moja biedna tak powiedziała: „Idź, moja córko, prawo jest prawem, nie żartuj z niem żartować“. Więc też poszłam, aby przebyć to półrocze.

Przewodniczący już drugi raz przeciera okulary; złym, zimnym, wzrokiem szuka twarzy kolegów, okna, podłogi i dużego żelaznego pieca, przez którego dziurawe drzwiczki patrzą iskrzące się oczy ognia. I sporotem sztywny mimowoli powtarza: „Prawo jest prawem“. Potem nanowo jeszcze odczytuje wzywający do odbycia kary wyrok, te nagryzmolone bazgraniny na białej karcie; ale pewnie słusznie powiedziano, że Anna Bede spowodu występku przechowywania złodzieja jest skazana na półroczny areszt... Wentylator zaczyna się kręcić z warjacką szybkością... Spewnościa tam na polu powstał wiatr; wstrząsnął już nawet szybami i, jakgdyby to były czyjeś powracające dusze, wzbudził zimny dreszcz, wwiewając przez otwór: „Prawo jest prawem“. Surowa głowa przytakuje temu zaziemskiemu głosowi, zaś wielka, tłusta ręka dzwoni na sługę sądowego:

— Proszę odprowadzić Annę Bede do dozorcy więzienia.

Woźny bierze pismo, dziewczyna odwraca się niemo, ale małe jej czerwone wargi poruszają się kurczowo, jakgdyby szukały słów.

— Może masz jeszcze coś do powiedzenia, dziecko?

— Nic, nic, tylko że ja jestem Erzsi, Bede Erzsi, gdyż — proszę zrozumieć — to moja starsza siostra jest Anna, nie ja. Dzisiaj tydzień, jak ją biedną pochowałyśmy.

— A więc to nie ty jesteś skazana?

— Oh, słodki mój Boże! Za cóż mianoby mnie skazywać? Nie skrzywdziłam ani muchy.

— Ale w takim razie pocóż tu przyszłaś, ty głupia?

— Więc tak było, proszę, że podczas, gdy „ta jej sprawa“ poszła do królewskiego sądu apelacyjnego, ona umarła. Gdy leżała w trumnie w umajonej komorze, przyszedł wtedy wyrok: — to półrocze, i że trzeba je odsiedzieć. Oh, jak bardzo na to czekała! I tak dobrze, że się nie doczekała! Nie tego czekała...

Łzy popłynęły na wspomnienie, zaledwie może dalej mówić:

— Jak tam leżała bez ruchu, z zamkniętemi oczami, na wieki oniemiała, ogłuszona, przyrzekłyśmy jej z matką, naprawić wszystko to, co popełniła przez swego kochanka. (Bo bardzo kochała tego Gabora Kártony, przez którego wpadła w grzech). Pomyślałyśmy więc...

— Co, moje dziecko?

Jak powstał ludowy przemysł stolarski na Podkarpaciu.

Na Podkarpaciu ulokował się od wieków poważny odłam produkcji przemysłu ludowego, a mianowicie drzewny. Największym ośrodkiem tego przemysłu jest miasteczko Kalwarja, mieszczące około 400 pracowni, rozsianych tak w centrum jak w okolicy, w promieniu 4 kilom. od niej, a zatrudniających około 2500 rąk, nie licząc osób, trudniących się pośrednictwem i transportem. O stanie i historji tego przemysłu podaje ciekawe szczegóły **R. Woyczyński** w swej wydanej ostatnio broszurze: „Śladami rozwoju przemysłu ludowego w Polsce". (Kraków, 1936, nakł. „Instytutu Administr. Gospodarczego", str. 113).

Przemysł ludowy w Kalwarji wyrabia rocznie około 7000 kompletów urządzeń mieszkalnych; jest to zatem poważna gałąź produkcji. Już za czasów zaborczych przemysł kalwaryjski cieszył się dużym zbytem do Wiednia, Budapesztu, a nawet wiedeńscy eksporterzy, tanie wówczas wyroby meblarskie produkcji kalwaryjskiej, wysyłali łącznie ze swoją **do Egiptu.** Targi stolarskie urządzane w ostatnich latach w Kalwarji, w miesiącach letnich, wykazują, że przemysł ten wyzbywa się wyzyskujących go nakładców, nawiązuje bezpośredni kontakt z odbiorcami, a zapraszany także na targi lwowskie i poznańskie sprzedaje tam coraz więcej urządzeń meblowych, stając się głównym ośrodkiem produkcji meblarskiej w Polsce.

„Wyrobienie mistrzów kalwaryjskich — czytamy w pracy p. Woyczyńskiego — przypisać należy tradycji sięgającej czasów Zebrzydowskich, gdzie **dla budowy dziesiątek kaplic w Kalwarji sprowadzono pierwszych mistrzów stolarskich z Włoch, zaś metalurgicznych dla sąsiednich Sułkowic.** Były to pierwsze kadry rękodzielników, które nietylko dały zaczątek tym osiedlom przemysłu ludowego, lecz także wytworzyły **pierwsze rezerwy rękodzielnictwa dla Krakowa.** Posuwając się dalej ku Podhalu, występują coraz liczniej inne osiedla przemysłu drzewnego, jak bednarstwo, które zatrudnia masy wytworem cebrzyków, wazonów, stołków oraz innych artykułów, sprzedawanych nietylko na targach miejskich w kraju, lecz często także wywożonych poza jego granice.

Jako znamienny artykuł eksportowy występuje stołkarstwo, t. j. wyrób składanych krzeseł, wykonanych z drzewa bukowego i jaworowego, tak przez poszczególnych chałupników jak niemniej przez zmechanizowane zakłady. Wielki zbyt tych stołków do Ameryki zachęcił nawet dawnych fabrykantów mebli giętych, którzy produkcję tę ujęli w formę fabryczną, mającą tę wyższość nad produkcją chałupniczą, że meble wykończone mechanicznie składają się szczelniej, są zatem łatwiejsze dla eksportu, gdyż nie zabierają tyle miejsca jak wykonane mniej dokładnie. Stołkarstwo silnie rozwinięte w Tarnawie w pow. wadowickim zaopatruje także w wielkich ilościach potrzeby kawiarń wielkomiejskich, plantacyj i ogrodów publicznych, a to tem więcej, że produkt ten jest bardzo tani.

Dalsze odrośla ludowego przemysłu drzewnego sięgają ku: Suchej, Makowowi, Jordanowi, Skomielnej, Stryszawie, Krzeszowi, Lasowi, Koconiu i Zawoji. Artykuły przemysłu drzewnego znane były w Suchej i obdarzone przywilejami nadanemi przez króla Augusta III, w r. 1742. Dotychczas wyroby Koszarawy t. j. pewnej dziedziny przemysłu drzewnego (zabawkarskiego) wzbudzają podziw pomysłowością artystyczną sięgającą średniowiecza".

— To, że niechże pełny spokój ma w prochach śmiertelnych. By nikt nie mógł powiedzieć, że została coś dłużna. Moja mateczka przyrzekła zapłacić szkodę, a ja jej znowu obiecałam odcierpieć to półrocze przy Komitacie.

Sędziowie spoglądają po sobie z uśmiechem... Jakże naiwna, jak poczciwa dziewczyna! Nawet twarz przewodniczącego nie jest już tak ceremonjalnie zimna. Żółtą chustką ociera może nie tyle czoło, ile coś poniżej czoła...

— Dobrze, moje dziewczę — mówi cicho i łagodnie, — zaczekaj tylko chwilę. Teraz sobie przypominam...

Szeroką dłoń przykłada do czoła, pogrążając się w myślach.

— Tak, tak, wielka w tej sprawie jest pomyłka. Wysłaliśmy do was mylne pismo.

Dziewczę podnosi żywo wielkie, melancholijne oczy na starca i przerywa mu spiesznie.

— Widzicie, widzicie!

Tak bolesny wyrzut jest w jej głosie, że stary prezes znowu sięga po chustkę. Surowy człowiek jest zupełnie rozrzewniony. Przystępuje do dziewczyny, głaszcze ją czule po kruczo czarnych włosach.

— Tam w górze inna jest prawda. Idź do matki i pozdrów tę twoją ukochaną i powiedz jej, że Anna, starsza twoja siostra, była niewinna.

— Myślałyśmy tak! — szepce i małą rękę ciśnie do serca.

Sinkiang — sowiecki klin w centrum Azji.

Utworzenie niepodległego cesarstwa Mandżurji i zlikwidowanie rosyjskiego stanu posiadania na kolei wschodnio-chińskiej ostatecznie **pozbawiło Z. S. R. R. bezpośredniego kontaktu z terytorjum republiki Chińskiej** na północno-wschodnim odcinku lądu azjatyckiego. Kontakt z zachodu, poprzez Mongolską Republikę Ludową unicestwiła penetracja Japończyków do Mongolji Wewnętrznej. Zresztą gorąca i rozległa pustynia Gobi, dzieląca te dwa kraje mongolskie, deprecjonowała znaczenie zbliżenia terytorjalnego na tym odcinku. Pozostał **jeden odcinek kontaktu Z. S. R. R. z Chinami:** poprzez Sinkiang, opanowywany konsekwentnie i skutecznie od szeregu lat.

Sinkiang — po polsku **„Nowa Prowincja"** — zwie się też Turkiestanem Chińskim — bądź Wschodnim, w odróżnieniu od Turkiestanu Zachodniego czyli rosyjskiej Azji Środkowej. Terytorjum Sinkiangu, obejmujące ok. 1.426 tys. km. kw., graniczy: na północy — z Mongolską Republiką Ludową, gdzie granicę stanowią góry Wielkiego Ałtaju, na południu — z Kaszmirem (Indje) — poprzez góry Karakorum — i z Tybetem, oddzielonym pustynią Takła-Makan i górami Altyn-Tag, na wschodzie — z prowincją mongolsko-chińską, Kansu i pustynią Goni, na zachodzie, gdzie linję graniczną stanowią góry Pamiru — z sowieckiemi republikami Uzbekistanu i Kazakstanu. Wpoprzek Sinkiangu ciągną się „Niebieskie Góry", Tien-szan, dzielące ten kraj na część północną, czyli Dżungarję i południową, czyli Kaszgarję. W górach tych leżą najważniejsze miasta Sinkiangu: stolica Urumczi, Kuldża, Chami, Turfan, Karaszar. Ludność Turkiestanu — **około 2 i pół miljona mieszkańców** — jest bardzo mieszana: większość ludności stanowią Turcy wschodniej grupy tureckiej z Ujgurami na czele, resztę tworzą Uzbecy, Kirgizi, Kozacy, Tatarzy, Mongołowie, Dunganie, t. j. Chińczycy-mahometanie i in. Chińczycy stanowią najmniejszy procent ludności: są to przeważnie urzędnicy, wojskowi, kupcy i arystokracja feudalno-obszarnicza.

Nadużycia i ucisk stosowane przez urzędników i wojskowych chińskich wobec miejscowej ludności, oraz przeciwieństwa rasowe i religijne mieszkańców Sinkiangu, podsycane i wykorzystywane przez Japonję, Anglję i Z. S. R. R., osłabiały pozycję Chin w prowincji **odległej od macierzy o 2—3 miesiące drogi samochodem** wzdłuż dawnego traktu karawanowego. Najsilniejszą pozycję w Turkiestanie Chińskim zdołała sobie zapewnić Rosja, czemu sprzyjała i bliskość i traktat handolwy z r. 1880, który przyznawał jej specjalne przywileje celne. — Z. S. R. R., wśród innych dziedzictw po cesarskiej Rosji, przejął również pozycję w Sinkiangu, umocnioną nowym traktatem handlowym z r. 1924. Od tego roku datuje się **bardzo ożywiona wymiana handlowa pomiędzy Z. S. R. R. a Sinkiangiem,** oraz coraz bardziej zacieśniająca się współpraca polityczna. Jak zapewniają źródła japońskie, w styczniu r. b. zawarty nawet został **układ tajny** pomiędzy Sowietami a Sinkiangiem, będący właściwie formalnem podporządkowaniem Turkiestanu Chińskiego Unji Sowieckiej. Rząd moskiewski, wzamian za uznanie jego kontroli, szerokich prerogatyw handlowych i wpływów na terenie Sinkiangu, zobowiązuje się do udzielenia Turkiestanowi chińskiemu nietylko pomocy technicznej i materjalnej, ale też **pomocy zbrojnej w razie zatargu zewnętrznego.**

Zbliżenie Sinkiangu do Sowietów **nie jest** wynikiem jedynie zręcznych posunięć **rządu** Z. S. R. R., działalności bolszewickich agentów i... pieniędzy wśród wpływowych czynników chińskiego Turkiestanu. Niewątpliwie wielką w tem rolę odegrał przykład rozwoju Turkiestanu sowieckiego, który w ciągu ostatnich lat osiągnął istotnie spore wyniki. Pokrewieństwo rasowe plemion zamieszkujących oba Turkiestany nie pozostaje również bez wpływu na zbliżenie sąsiadujących ze sobą **krajów.** Jeśli zaś chodzi o interesy Moskwy w Sinkiangu, są one dzisiaj przedewszystkiem natury **raczej polityczno-strategicznej,** niż handlowej: połączenie obydwu Turkiestanów — w formie takiej czy innej — albo nawet tylko sojusz Sinkiangu z Z. S. R. R., pozwoli Sowietom odzyskać prestige wobec Chin, utracony przez utworzenie państwa Mandżurskiego i Wewnętrznej Mongolji. Umocniwszy się w Sinkiangu, Sowiety będą mogły wywierać silny wpływ gospodarczy i polityczny na sąsiednią prowincję Kansu, w kierunku której Unja Sowiecka buduje już na mocy koncesji od Sinkiangu linję kolejową, a jednocześnie będą mogły nawiązać zdawna upragniony kontakt z czerwonemi prowincjami Chin.

Ze wschodniego Turkiestanu celuje Moskwa **w samo serce Chin,** wbijając klin w centrum Azji pomiędzy japońskie wpływy ze wschodu a angielskie z południa.

M. D.

Rozrywki umysłowe.

POD KIER. INŻ. H. BRAUMANOWEJ.
Czł. Kl. Szar.

Z numerem dzisiejszym otwieramy dział Rozrywek Umysłowych. Zadania będą zamieszczane raz na tydzień w niedzielnym Dodatku Literacko-Naukowym. Za rozwiązanie wszystkich zadań z niniejszego numeru Redakcja przyznaje nagrodę w drodze losowania. Termin nadsyłania rozwiązań 12 kwietnia. Miarodajną jest data stempla pocztowego. — **Uw. Red.**

I) ŁAMIGŁÓWKA.

Znaleźć 12 wyrazów siedmioliterowych o podanem poniżej znaczeniu. Początkowe i ostatnie litery dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów.

1) Niedorzeczność, absurd, 2) Mit. śpiewak grecki, 3) Imię żeńskie, 4) Pałac (król. mauryt.,) 5) Ciało niebieskie, 6) Imię męskie, 7) Werwa, zapał, 8) Wino włoskie, 9) Miasto w Czechach (o = ó), 10) Trawa morska, 11) Dzielnica w Krakowie, 12) Owoce południowe.

II) KALAMBURY.

1. Nie rusz, psinko, tego lorda,
 Bo ci **cały** skręci mordę.
2. Gdy oprawcy dźwięczy miska,
 Rwą do tańca się ludziska.
3. Włoch cię zowie piękną panną.
 Choć ukrywasz jad, asanno.

III) BILETY WIZYTOWE.

H. Tancis
Roma

R. Ramalstaz
Ateny

I. Satyj
Opoczno

K. Oset Syn
Warta

Jakich są przekonań?

IV) ARYTMOGRAF.

12 — 2 — 5 — 15 — 1
10 — 15 — 21 — 18 — 21 — 10 — 1
13 — 17 — 20 — 9 — 6 — 4 — 1
8 — 11 — 19 — 14 — 9 — 1
8 — 1 — 16 — 9
1. 7 — 15 — 6 — 5 — 15 — 13.

Słowa pomocnicze:

1) 12 — 1 — 5 — 1 — 8 — 1 — 16 — 10 — 10 — 1 — 15 = Wyspa na oceanie Atlantyckim.
2) 17 — 20 — 9 — 1 — 18 — 13 — 14 — 6 — 11 — 10 = Imię księcia litewskiego.
3) 7 — 15 — 21 — 10 — 1 — 16 — 21 = Łakocie.
4) 4 — 6 — 5 — 19 — 11 — 1 = Spis, wykaz papierów lub kursów.
5) 10 — 11 — 2 — 3 = Zwój.

Po odgadnięciu słów pomocniczych zastąpić cyfry literami, które dadzą w rozwiązaniu aforyzm jednego z polskich autorów oraz pierwszą literę imienia i nazwisko tegoż autora.

V. SZARADA.

Wróć, Kościuszko, do nas z nieba,
Po raz drugi Polsce służ,
Wielkiej sławy nam dziś trzeba —
Małe niepotrzebne już.

Tysiąc **pierwszych** w górę strzeli,
Gdy powrócisz między nas,
Urlop dadzą Ci anieli,
Wróć, bo już najwyższy czas!

Wspomnim wówczas dni tej ery,
Gdy na hasło Twe, Twój znak,
Przed Twoimi kosyniery
Moskal **trzecie — drugie wspak.**

A wspak pierwszy pełen złości
Pyta: „Cóż się stał za cud?
Czy się łączy. jak w przeszłości
Z polską szlachtą — polski lud?

Wszakże słałem **dwa — trzy — czwarte**
Moich jegrów na ten kraj,
Czyż już pęta są rozdarte?
Miast katorgi ma być raj?"

Więc, Kościuszko, zwołaj w niebie
Trzy — wspak cztery polskich dusz
I na pomoc nam w potrzebie
Z Księciem Józiem szybko rusz.

VI. ŁAMIGŁÓWKA AKTUALNA.

Znaleźć 23 wyrazy o znaczeniu poniżej podanem. Pierwsze litery dadzą znane przysłowie, a środkowe apel do społeczeństwa. Znaczenie wyrazów: 1) Opady, 2) Imię żeńskie, 3) Instr. muzyczny, 4) Kronika (z = ż), 5) Marka mydła, 6) Zwierzokrzewy, 7) Rzeka na wyspie Kuba, 8) Miłośnik życia domowego, 9) Rodzaj koloru, 10) Przygotowanie duchownego kat. do profesury (e = ę), 11) Człowiek wykształcony oczytany, 12) Rodzaj glinki, 13) Bóg śmierci u Greków, 14) Dziecinny instr. muz., 15) Dopływ rz. Guadjany w Hiszp. (fonetycznie), 16) Nazwa pałaców maur., 17) Poborca, zawiadujący kasą, 18) Zapaśniczka, 19) Miejscowość wycieczk. w Szwajc., 20) Kapłani celtyccy, 21) Przywłaszczenie, zagarnięcie, 22) Zwierzę dom., 23) Dwuznacznik (l. mn.).

K U P O N Nr. 1.
do dnia 12. IV. br.

Rozwiązania należy przesyłać do Redakcji, adresując do Działu Rozrywek Umysłowych i załączając kupon.

Prima Aprilis w prasie.

Jak zwykle na „Prima Aprilis" pojawiło się i w tym roku w prasie pol. kilka notatek mistyfikacyjnych, przyjętych przez wielu na serjo. M. in. jedno z pism ogłosiło, że do **Warszawy przyjechał poseł abisyński z Paryża, zamieszkał w Hotelu Rzymskim i werbuje ochotników.** Do Hotelu Rzymskiego zgłosiło się kilkadziesiąt osób, by zaciągnąć się w szeregi armji abisyńskiej. Ochotnicy dowiedzieli się, że padli ofiarą żartu.

Kilka pism powtórzyło wiadomość z Londynu, że **uniwersytet żydowski w Tel Avivie mianował posła ukraińskiego Stefana Barana doktorem honoris causa za odważną obronę uboju rytualnego.** Pisma owe potraktowały serjo tę wiadomość, zamieszczoną w prasie ukraińskiej gwoli żartu przez **antagonistów posła Barana.**

ŻYCIE RELIGIJNE.

Humanizm i Katolicyzm.

[illegible] DOOKOŁA „NOWEGO" CZŁOWIEKA.

Niepokój i chaos myślowy w Europie, mające swe źródła w okresie Reformacji i Odrodzenia, trwa nadal w niewyklarowanym stanie. Wie o tem każdy poważniejszy badacz kultury, czuje to prosty człowiek z ulicy, który cząstkę tego niepokoju zbiorowego nosi w swojem sercu. A nie jest to już naprawdę zwykły niepokój, który stwarzą pożyteczne napięcie dla tworzenia w sobie życia ciągle płodnego, ale jest to niepokój człowieka, który zatracił założenia. kierunek i cel życia. Troską napawać musi myśl, kiedy wyjdziemy z tego impasu kultury i czy wnet zaczną płonąć zorze nowego okresu organicznej jedności Europy, tego okresu, który Berdiajew w swej proroczej wizji nazywa „nowem średniowieczem". Tak czy inaczej droga do nowego ładu prowadzi przez człowieka, a drugorzędnie dopiero przez instytucje. Bo jeśli kryzys jest, jest on w pierwszym rzędzie w człowieku, a nie poza nim. Jego więc należy uleczyć! Ale chodzi o to nowe zbawcze słowo „stań się". o tę moc. któraby go przybliżała do sadzawki Siloe. Lekarzy, wieszczów i znachorów zebrało się stosunkowo nie mało, ale tak różnego autoramentu. że ich sądy nie dają jedności. Zrobiło się nawet duszno od nowych ideologji, „światopoglądów" i t. d. Niektóre z tych nowych „Weltanschaung'ów", sfabrykowane nie przez profesorćw z katedr, ale przez przebojowców społecznych odznaczają się prawie mistycznym, religijnym dynamizmem i zmierzają do ściśnięcia stosunków ludzkich w klamry radykalnej totalności w imię której pakuje się pod mocno uszczelniony namiot państwowy, nie tylko takie, czy inne klasy społeczne, ale całe narody, ba nawet więcej, gdyby się dało... Naturalnie, że takie ustosunkowanie się do jednostki ludzkiej jest parodją humanizmu. ale nie widać by te nowe prądy bardzo się tem przejmowały, pozatem zajęte są walką ideową z współżyjącemi obok formami kultury, które wcale nie zanikły. a w niektórych krajach nawet też zaostrzyły swój kurs. W tyglu tych wydarzeń Kościół katolicki i katolicyzm bynajmniej nie pozostają w spokoju, należy nawet wyznać, że z racji swego jednolitego i nieprzejednanego światopoglądu stanowi dziś Kościół najbardziej atakowaną redutę. Różni są przeciwnicy i różnej używają broni. W tem się jednak schodzą, że zarzucają Kościołowi negatywną postawę wobec „Świata", rozdarcie człowieka między dwie sprzeczne sfery i wrogość w stosunku do aspiracyj dzisiejszego człowieka. W imię więc nowego humanizmu (zresztą bardzo różnorodnego. ale zorjentowanego przeważnie na doczesność) toczy się bój. — Potrwa on zapewne sporo jeszcze czasu. Wkońcu jednak unaocznić musi, że dotychczasowe doktryny humanistyczne grzeszą jaskrawą jednostronnością.

CO TO JEST HUMANIZM?

Nie o szkolny wywód tu chodzi. ale o zasadniczą myśl. Ale najpierw jedno: W naukowej terminologji. słowo „humanizm" nie pokrywa się dziś z kulturą antyczną. Istnieją humanizmy różnych ras, epok, kultur i światopoglądów. Wspólnym manownikiem jest tu centrowanie uwagi na człowieka. Humanizm odnosi sens kultury i cywilizacji do tego co jest najistotniejsze w człowieku, co zmierza do rozwinięcia w nim wszelkich dobrych właściwości jego natury po linji jego wewnętrznych i zewnętrznych uzdolnień, aż do pełności życia zakreślonego gatunkowi ludzkiemu. Jaka jest postawa katolicyzmu wobec tak sformułowanego humanizmu? Odpowiedź zależeć będzie od właściwego pojmowania treści Katolicyzmu i Kościoła, a tę sobie w Polsce nie dość uświadamiamy. Na dobrą sprawę, łączy się z Kościołem pojęcie geograficznej. przestrzennej uniwersalności (Kościół nie robi rozróżnienia ras, ludów, granic), czy jeszcze uniwersalności w czasie (Kościół jest instytucją obejmującą wszystkie czasy). Ale to prawie wszystko.

NIEDOSTRZEGALNA CECHA KOŚCIOŁA.

Tą trzecią cechą, to — uniwersalizm, idący w wymiarze głębokości. W Kościele odnajduje ludzkość swe pierwsze wiązania, zasadnicze prawa swego funkcjonowania, swój ostateczny kierunek. Znajduje, bo Kościół jest instytucją boską i ludzką, przyczem ludzka strona czerpie rzeczywistość swego najgłębszego człowieczeństwa właśnie ze źródeł twórczej myśli Boga i we współpracy z Nim najzupełniej je realizuje. Pierwiastek ludzki i boski stapia w jedność osoba Chrystusa, Syna Bożego i Syna Człowieczego. Chrystus, jako Bóg - Człowiek przejął w Siebie całą naturę ludzką, z tem wszystkiem, co ją określa we wszystkich możliwościach i prawych tendencjach, w możliwych i dobroczynnych jej zdobyczach. w jej całej przyszłości pożądanej, dopuszczonej czy dozwolonej. I Kościół, będący mistycznym Chrystusem, nie znajduje niczego w człowieku, czegoby nie chciał Bogiem przepoić, by udoskonalić to człowieczeństwo. Podobnie i człowiek nie może pominąć w żadnej chwili i na żadnym zakręcie swego życia bosko-ludzkiego Kościoła, który go piastuje, odżywia i wzbogaca do granicy takiej możliwości, o jakiej się czysto naturalistycznemu humanizmowi ani śniło.

„KOŚCIÓŁ ORGANIZACJĄ NIESKOŃCZONOŚCI".

W ten sposćb określa Kościół filozof francuski O. Sertillanges (wiele skorzystaliśmy tutaj z jego rozprawki o tym przedmiocie). Jeśli tak jest, to cóż z prawdziwego człowieczeństwa może pozostać poza jego obrębem? To dźwiganie całego życia przez Kościół nie oznacza jednak, by nie pozostawiał Kościół ogromnej swobody życiu ludzkiemu, jednostkowemu czy zbiorowemu — łączy je tylko w jedność celu warunkującego jakość działania. Wygląd Kościoła w uniwersaliźmie głębokości nie jest zazwyczaj dostrzegany, a pochodzi to poniekąd stąd, że zewnętrzna, społeczna struktura Kościoła, czyniąc Go widocznym na ziemi, jednocześnie zasłania jego ducha, jego wewnętrzne działanie. Ale właśnie z takiej obsesji dostrzegania Kościoła tylko od zewnętrznej strony należy się corychlej otrząść i przez wejście wgłąb zrozumieć, że Kościół mając za zadanie wyprowadzić ludzkość na szczyty jej chwały i jasności w Bogu nie może nie uznać humanizmu, ale tylko tego głębokiego, który szanując całego człowieka, kieruje go „ad beatudinem in Deo".

A. Nowaczyński o bracie Albercie.

Szereg żywotów i żywocików spopularyzował już w naszym kraju świątobliwą postać artysty-malarza Adama Chmielowskiego, znanego raczej pod zakonnem imieniem brata Alberta, założyciela zgromadzenia Albertynów. Żywoty te naogół nie zupełnie jeszcze dopisują, bo nie wszystkie materjały są już zebrane, a i sami autorzy nie silili się dotąd na lepsze ujęcie, przeznaczając je raczej dla warstw ludowych. Gruntowny i wszechstronny życiorys brata Alberta nie jest jeszcze napisany. Prace nad nim są jednak w toku: wygłaszane od czasu do czasu odczyty informują o ich postępach. W międzyczasie zawsze coś nowego przybywa. Nie jest to więc okres bezpłodny. Raczej przeciwnie.

Dowodem tego nie dawno wydana przez księgarnię Św. Wojciecha książeczka p. t.: **„Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia"** napisana o bracie Albercie przez znakomitego pisarza i dramaturga **A. Nowaczyńskiego.** Autor nie jest oczywiście „zawodowym" hagjografem; materjału nie rozmieszcza według pewnych przyjętych schematów, nie wpada w specjalny ton, przyjęty dotąd dla tego rodzaju życiorysów. Sam pisze o sobie skromnie, że „podjęło się zadania rzucenia snopu światła na Świętość pióro może i zbyt świeckie, zbyt grzeszne, profańskie, niegodne, trzykroć niegodne, ale jakie szczęśliwe, że może z pustyni egoizmów, na której suche wichry sypią nam w oczy piasek nieprawości ludzkich, wyprowadzić współcześników w jasną oazę dosłownego dobra, poświęcenia, ofiarności i miłości człowieczeństwa wprost bezprzykładnej". Sądzimy jednak, że mimo tej deklaracji skromności Nowaczyński dał coś, co śmiało można nazwać arcydziełem swego rodzaju. Już dawno nie czytało się życiorysu świętego czy świątobliwego człowieka z takiem przykuwającem zaciekawieniem, a zarazem i wzrastającą wdzięcznością. Ale bo też „terminujący" w tej dziedzinie Nowaczyński po mistrzowsku utrafił i w ton i w charakteryzację osoby i życia bohatera i jego środowiska. Uderza przedewszystkiem franciszkańska prostota, nie schodząca ani na chwilę na manowce napuszonego krasomóstwa, — czasami nawet ryzykująca rodzaj kronikarskiego rejestrowania. Odpowiada ona tak świetnie tematowi, że sama już tylko forma, z czarem i wdziękiem, oddaje to, co się nazywa „duchowym klimatem" krakowskiego Poverella. Prostota nie wyklucza natomiast humoru, który jeszcze większej nadaje lekkości całości obrazu. A jestto humor o różnych natężeniach światła i barw. Jużto przypomina dyskretny i naiwny humor dickensowski, to rubaszny i mocno ironiczny przekąs chestertonowski, najwięcej jest jednak tego naszego nadwiślańskiego humoru, made in Poland, którego patent w Polsce dzierży właśnie Nowaczyński. Trudno zaiste opędzić się pokusie przytoczenia paru uderzających fragmentów z tej złotej książeczki, która ze względu na swą niską cenę (1.50 zł.) znaleźć się winna w rękach każdego katolickiego czytelnika, pragnącego skrzepić się naprawdę artystyczną strawą. Oto, jak plastycznie i barwnie opisuje autor schroniska albertyńskie:

„Takich przytulisk dla parjasów jest już po różnych naszych miastach kilkanaście. A sporo też jest już znowu po Polsce innych takich przytułków, domów pracy dla nieletnich, dla chłopców i dziewcząt, dla znajd i sierót, które inaczej włóczyłyby się gromadami i tworzyły kadry pomocnicze zbrodni, a może i rewolt, gdyby nie zgarniano ich z przedmieść i spod mostów i nie trzymano w cieple tych zakładów. I w Warszawie takie oksfordy i cambridge są, i w Krakowie, Przemyślu, Stanisławowie, Sokalu, pod Wieluniem w Kamionku, w Tarnowie, we Lwowie, w Medyce, gdzie wszędzie narybek prolesu uczy się stolarki, krawiectwa, szewstwa, introligatorstwa, bojaźni Bożej, miłości bliźniego, a nawet muzyki. Dziewczyny zamiast się gzić po rowach zamiejskich i mnożyć roje prostytucji, szyją suknie i robią koronki. Chłopaczyska, zamiast zostać gangsterami, nożowcami, suteneram — pracują, zarabiają i wyrastają na ludzi".

Pysznie opowiedziany jest epizod z obrazami brata Alberta, który przed założeniem zgromadzenia był — jak wiadomo — doskonałym malarzem... Po przywdzianiu habitu III. zakonu Św. Franciszka, brat Albert swoje obrazy kazał wyrzucić na strych. Raz jednak wzięła go chętka przejrzenia ich. Prosił więc braci by je zniesiono ze strychu. „Bracia — pisze Nowaczyński — zaczęli zakłopotani szukać, ale jakoś coś się zapodziały, nie mogli znaleźć. Brat Albert czekał smutny i zaniepokojony. Wreszcie jeden z braciszków, z miasta świeżo przybyły, szukaniem zdumiony, wyznał prawdę: nie wiedział, że to coś warte, bo było podniszczone, brudne, stare. Więc pociął na kawałki i na podpałkę do pieców w zimie. Zima była tak ciężka!" Czy ta scena, których wiele jest w tym żywociku, nie przypomina wyczynów braci z Fioretti?

O bracie Albercie, referował S. Witkiewicz konfratrom z Warszawy, że „Adam służy tu teraz tylko opuchlakom". „A opuchlaki — pisze Nowaczyński — to byli ci z głodu puchnący łachmaniarze, nadwiślańskie burłaki, bradiagi, bezprizorni, tacy sami jak w Gorkiego „Na dnie", jak w Hauptmana „Tkaczach".

Tych ciekawych „wyciągów" możnaby robić bez liku. Zostawiamy czytelnikowi przyjemność odkrywania ich na własną rękę i podziwiania umiejętności wykorzystania osobistych wspomnień autora z Krakowa i Zakopanego. dla uplastycznienia społecznego tła działania człowieka, którego autor znał dobrze chyba tylko z ostatnich lat życia.

J. S.

Z OBCEJ NIWY

„Powołanie społeczne".

Cała katolicka Francja, tak z lewicy, jak i z prawicy coraz większą czcią, prawie kultem, otacza pamięć zmarłego w dniu 6 października 1914 r. hr. Alberta de Mun. Postać to wyjątkowa. Żarliwy katolik, płomienny patrjota, ale nadewszystko wielki społecznik, który całe prawie życie poświęcił sprawie robotniczej, tworząc różne instytucje (głośne zwłaszcza katolickie „Koła robotnicze") i broniąc praw pracy z brawurową i przekonywującą wymową przed parlamentem francuskim, czy na mównicach różnych krajów Europy. Był oficerem, odbył kampanję w Afryce, dostał się pod Sedanem w 1870 r. do niewoli wraz z markizem La Tour du Pin, głębokim teoretykiem chrześcijańskiego korporacjonizmu. Po powrocie z niewoli wstrząsnęły nim głęboko rozruchy komuny paryskiej. De Mun zrozumiał, że katolicy zbyt są obojętni wobec spraw społecznych i że w tem nie są w zgodzie z nakązami Ewangelji. Opatrzność zetknęła go z „apostołem robotników". Misjonarzem Ks. Maignen. W swej autobiografji „Ma vocation sociale" kreśli de Mun wzruszające wspomnienia pierwszej rozmowy z tym, który w nim obudził „powołanie społeczne".

* * *

„Wprowadzony — pisze o swem spotkaniu z Ks. M. na Ratuszu paryskim — przez służbowego żołnierza, ks. Maignen wszedł: od pierwszego spojrzenia zawładnął moją duszą. Miał wówczas blisko pięćdziesiąt lat. Średniego wzrostu, w niewybrednem czarnem ubraniu, które nie zdradzało jego zakonnego charakteru, o wspaniałej głowie, którą nosił ze skromnością. Przypruszone siwizną włosy, nieco odrzucone wtył odsłaniały czoło, pełne myśli: broda też już siwiejąca, okalała wargi o dyskretnym uśmiechu: oczy bardzo łagodne miały jednakowoż imponujące spojrzenie: wyraz twarzy, cała postawa o uderzającej szlachetności, mimo rzetelnej prostoty w ubiorze i zachowaniu się, miała jakąś nieokreśloną dystynkcję, która zdradzała wielką rasę: lecz z oblicza, ukrywającego stłumiony żar, zgadywało się serce poety, a zarazem i wyobraźnię artysty. Całość znamionowała osobę religijną, ale bez bojaźliwego skrępowania czy sztywnej powagi: z całej osoby promieniowała świętość, której nie mąciły żadne pozory ostrej surowości. Prawie bez wstępów, rozmowa zeszła na koło robotnicze przy alei Montparnasse. Ks. Maignen wkrótce sam już mówił: słuchałem go wstrząśnięty. Jakżeż oddać to, co co mi mówił? Jeszcze po trzydziestu siedmiu latach, jeśli słowa uszły z mej pamięci, to na dnie mego serca, pozostaje z tej żarliwej improwizacji gorący jeszcze ślad, który odżywa pod wrażeniem wspomnień. Odważyłbym się prawie powiedzieć, jak uczeń z Emaus do swego współtowarzysza, kiedy boski Mistrz znikł z ich oczu, że „serce padało w nas, gdy mówił nam". Takie naprawdę wspomnienie odnajduję pod popiołem lat.

Ks. Maignen nie mówił już o swem kole, ale mówił o ludzie i mówił o bogatych. Nie jałmużny się domagał, ale uczył miłości i żądał oddania się. Staliśmy blisko okna: między arkadami, potężne ruiny zamku w Tuileries dźwigały tragicznie pęknięte sklepienie i mury (skutek wybryków „Komuny")... Boży człowiek przemienił się: oczy jego błyszczały nadprzyrodzonym ogniem, głos brzmiał władnym akcentem. Nagle uspokoił się, oczy zaszły mu mgłą, złagodniały: drżącą rękę przesunął po swej brodzie, a kiedy ją odsunął, uśmiech zakwitł mu na wargach. Prosił o wybaczenie mu wzruszenia, a widząc mnie zdobytym, wyszedł, prosząc mnie tylko, bym go zechciał odwiedzić i przewodniczyć skolei na najbliższem zebraniu członków koła. Przyrzekłem mu. W ten sposób zadecydowała się moja przyszłość".

Modlitwa kard. Newmana.

„Trzeba mi, Panie, byś mnie uczył dzień w dzień, bo każdy dzień stawia przedemną inne żądania i coraz inne niebezpieczeństwa. Daj mi, o Panie, taką jasność sumienia, by czuło i pojmowało tylko Twoje tchnienie. Uszy moje są głuche, nie mogę dosłyszeć Twego głosu; oczy moje zmęczone, nie mogę dojrzeć Twych znaków. Jedynie Ty możesz wzmocnić mój słuch, Ty możesz rozjaśnić mój wzrok, Ty oczyścić i odnowić moje serce. Naucz mnie siedzieć u Twoich stóp i słuchać Twego słowa".